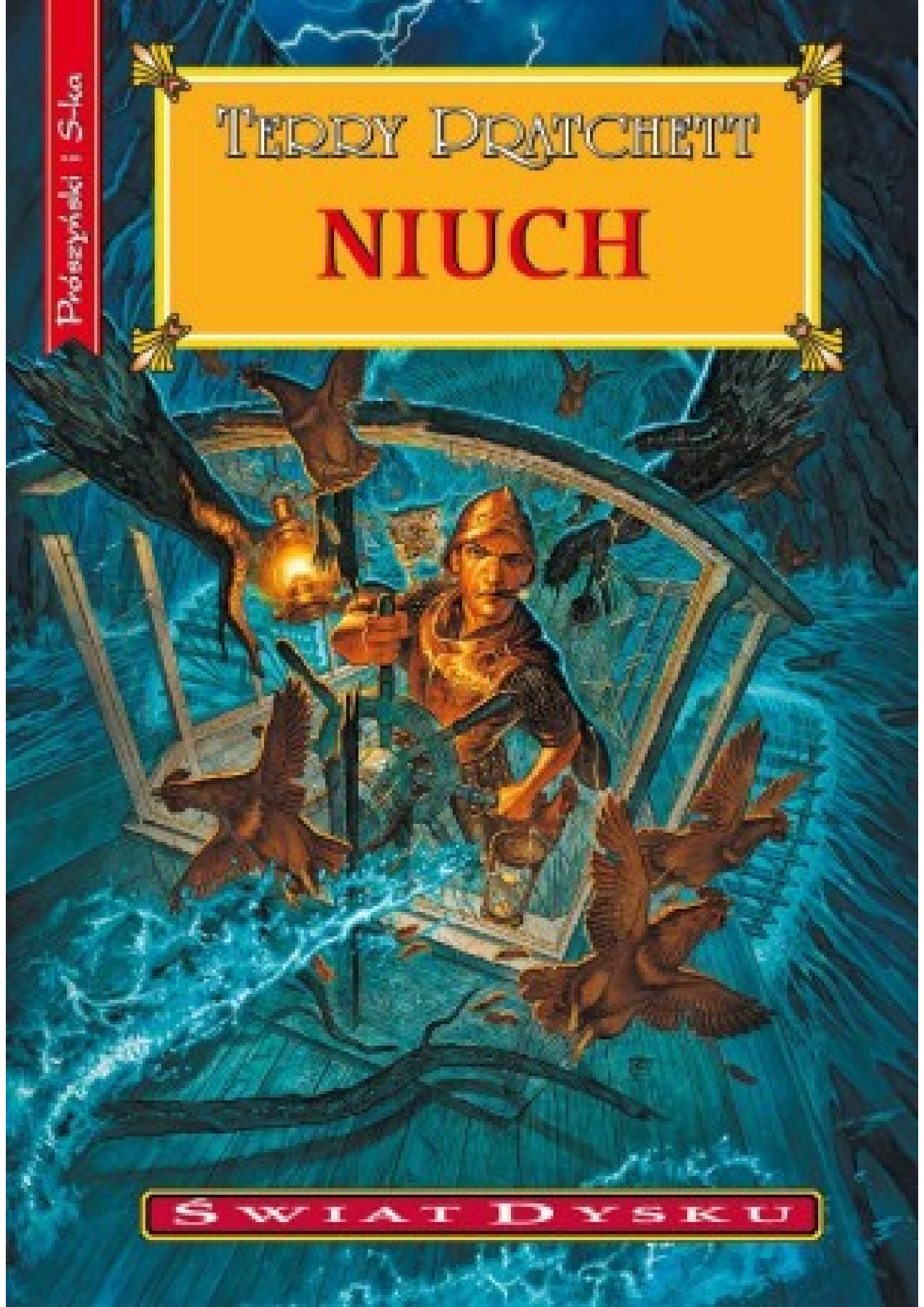


Przełożył: S. Ica

TEDDY DRATCHETT

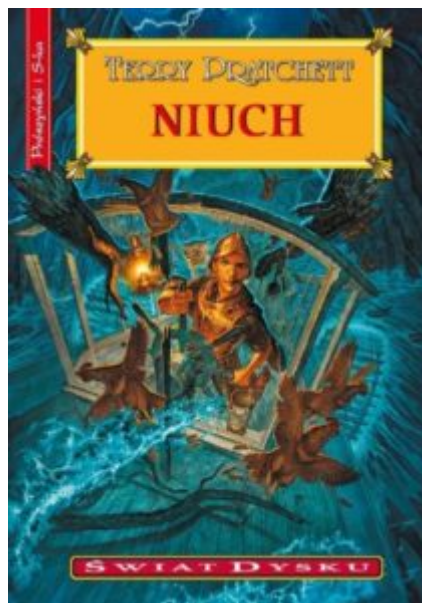
NIUCH

ŚWIAT DYSKU



Terry Pratchett "Niuch" (fragment 2)

Fahrenheit Crew



Rozdział 1

Fragment

Vimes, z synem na kolanach, spoglądał na oddalające się miasto z okna powozu, który wioził go w stronę dwóch tygodni sielankowej drzemki. Czuł się jak człowiek skazany na wygnanie. Jednak trzeba być optymistą – na pewno w mieście zdarzy się jakieś potworne morderstwo albo okropna kradzież, które z bardzo ważnych powodów – choćby w celu podtrzymania morale, jeśli już nic innego – wymagać będą obecności komendanta straży. Mógł tylko mieć nadzieję.

Samuel Vimes od dnia ślubu wiedział, że żona ma wiejską posiadłość. Wiedział między innymi dlatego, że mu ją oddała. Prawdę mówiąc, przeniosła na niego cały rodzinny majątek, przy czym rzeczona rodzina składała się w owej chwili wyłącznie z niej samej. Uczyniła to w staroświeckim i wzruszającym przekonaniu, iż na męża powinien spadać obowiązek posiadania. Uparła się.

Okresowo, zależnie od pory roku, do ich domu przy Alei Scoone'a w Ankh-Morpork przybywał wóz załadowany owocami, warzywami, serami i mięsem – wszystkimi produktami owej wiejskiej posiadłości, której Vimes nigdy nie widział. I niezbyt mu zależało, żeby ją teraz zobaczyć. Jedyne, co wiedział na temat wsi, to że chlupie pod nogami. Owszem, większość ulic w Ankh-Morpork także chlupała pod nogami, ale to był właściwy rodzaj chlupotu – chlupot, w jakim chlupotał, odkąd nauczył się chodzić i (nieodmiennie) ślizgać i przewracać.

Oficjalnie posiadłość nosiła nazwę Crundells, lecz zawsze mówiono o niej „Ramkinowy Dwór”. Należało do niej chyba koło mili potoku z pstrągami oraz – o ile Vimes dobrze pamiętał dokumenty – także pub. Wiedział, że można być właścicielem pubu, ale nie miał pojęcia, jak mieć na własność potok i pstrągi – no bo gdyby to rzeczywiście był jego kawałek, to przecież właśnie spływał w dół, pluszcząc przy tym wesoło. Czyli ktoś inny łowił teraz te pstrągi w jego wodzie, drań jeden! A ten kawałek przed nim jeszcze przed chwilą należał do gościa powyżej – i ten tłusciuch, nadęty plutokrata, pewnie teraz jego, Sama Vimesa, uważa za kłusownika i drania! No i przecież ryby pływają sobie, gdzie chcą, prawda? Skąd wiadomo, które są czyje? Pewnie są znakowane – dla Vimesa brzmiało to bardzo wiejsko. Za miastem stale trzeba być w defensywie, całkiem inaczej niż w mieście.

Nietypowo dla siebie, lord Vetinari zaśmiał się głośno. Niemal napawając się upadkiem swego wroga, z rozmachem rzucił na biurko otwarty na stronie z krzyżówką „Puls Ankh-Morpork”.

- Coś się zmienia, ale kąty zostają: konforemność! I gram pani na nosie, madame!

Drumknott, który starannie układał dokumenty, uśmiechnął się dyskretnie.

- Kolejne zwycięstwo, panie?

Wojna Vetinariego z główną układaczką krzyżówek „Pulsu Ankh-Morpork” była powszechnie znana.

- Jestem przekonany, że traci panowanie nad sobą - stwierdził Patrycjusz i oparł się wygodnie na krześle. - Co tam masz, Drumknott? - Wskazał grubą brązową kopertę.

- Odznakę komendanta Vimesa, panie, dostarczoną mi przez kapitana Marchewę.

- Zaklejona?

- Tak, panie.

- W takim razie nie ma tam odznaki Vimesa.

- Nie, panie. Staranne badanie dotykowe koperty sugeruje, że zawiera puste pudełko po tabace Podwójny Grom. Wniosek ten potwierdziło szybkie niuchnięcie.

- Ale kapitan musiał zdawać sobie z tego sprawę, Drumknott - zauważył wciąż pobudzony Vetinari.

- Oczywiście, panie.

- Naturalnie, coś takiego leży w naturze naszego komendanta - uznał Vetinari. - Ale czy chcielibyśmy, żeby się zmienił? Wygrał tę potyczkę, a człowiek, który potrafi wygrywać drobne potyczki, jest dobrze przygotowany do zwycięstwa w wielkich bitwach.

Co niezwykle, Drumknott zawahał się chwilę, nim odpowiedział:

- Istotnie. À propos... To lady Sybil zaproponowała wyjazd na wieś, prawda?

Vetinari uniósł brew.

- Ależ oczywiście, Drumknott. Nie wyobrażam sobie nawet, kto inny mógłby to wymyślić. Dzielny komendant znany jest ze swego oddania pracy. Któż, jeśli nie kochająca żona, zdołałby go przekonać, że parę tygodni przyjemnego urlopu na wsi na pewno mu się przyda?

- Istotnie, któż? - zgodził się Drumknott i przerwał w tym miejscu, jako że nie było sensu dodawania czegokolwiek. Jego pracodawca dysponował chyba źródłami informacji, niedostępnymi nawet dla Drumknotta, choćby nie wiadomo jak się starał. A tylko niebiosa wiedziały, kim byli wszyscy ci, którzy przemykali się w ciemnościach długimi schodami w pałacu. Tak więc życie w Podłużnym Gabinetie toczyło się wśród tajemnic, rozważań i fałszywych tropów, a natura prawdy zmieniała się jak kolory tęczy. Wiedział to dobrze, gdyż sam grał nie całkiem nieznaczną rolę w jej widmie. Jednak wiedzieć to, co wiedział lord Vetinari, i dokładnie to, co lord Vetinari myślał, byłoby psychologiczną niemożliwością, a człowiek mądry potrafił to zaakceptować i zająć się segregacją dokumentów.

Vetinari wstał i wyjrzał przez okno.

- To miasto żebraków i złodziei, Drumknott, mam rację? Jestem dumny z tego, że mamy u siebie tych najlepiej wykwalifikowanych. Prawdę mówiąc, gdyby istniało coś takiego jak międzymiejski turniej złodziejski, Ankh-Morpork wróciłoby do domu z pucharem i portfelami wszystkich obecnych. Złodziejstwo ma swój sens, Drumknott. Jednak człowiek wewnętrznie czuje, że jak są rzeczy niedostępne człowiekowi z gminu, są i takie, które nie powinny być dozwolone bogatym i potężnym.

Zrozumienie, jakie przejawiał Drumknott dla procesów myślowych swego pracodawcy, komuś z zewnątrz mogłoby się wydać magiczne. Jednak zadziwiająco wiele można było wywnioskować z obserwacji, co czyta lord Vetinari, ze słuchania jego pozornie oderwanych uwag i z łączenia tego wszystkiego, jak tylko Drumknott potrafił łączyć, z bieżącymi kłopotami i niepokojami.

- Czy chodzi teraz o przemysł, panie? - zapytał.

- Owszem, Drumknott. Prawdę mówiąc, przemysł mi nie przeszkadza. Wymaga przedsiębiorczości, dyskrecji, oryginalności myślenia, jednym słowem atrybutów, które należy wspierać u prostych ludzi. W rzeczywistości nie wyrządza wielkich szkód, a człowiekowi z ulicy pozwala na lekkie frisson podniecenia. Każdy powinien od czasu do czasu złamać prawo w jakiś skromny, ale rozkoszny sposób. To dobre dla higieny mózgu.

- Jednakże, panie, podatki muszą być ściągane i płacone - stwierdził Drumknott, którego wewnętrzniczkowa czystość nie podlegała dyskusji. - Miasto się rozwija. I trzeba za to płacić.

- Istotnie - zgodził się Vetinari. - Mogłem obłożyć podatkiem wiele rzeczy, jednak zdecydowałem się opodatkować coś, bez czego w oczywisty sposób można żyć. I prawie nie jest uzależniające, nieprawdaż...

- Niektórzy uważają, że tak. Pojawiają się narzekania.

Vetinari zaczął przeglądać dokumenty.

- Drumknott - rzekł, nie podnosząc głowy. - Życie jest uzależniające. Jeśli ludzie zaczną nadmiernie się skarżyć, wydaje mi się, że będę musiał zwrócić ich uwagę na ten fakt.

Uśmiechnął się znowu i złożył palce w piramidkę.

- Krótko mówiąc, Drumknott, pewna doza zdrowego rozbójnictwa w klasach niższych może być przyjmowana z uśmiechem, jeśli nie wręcz aktywnie promowana, dla zdrowia miasta. Jak jednak powinniśmy reagować, kiedy przestępstwami zajmuje się ktoś wysoko urodzony i bogaty? Jeśli człowiek ubogi spędzi rok w więzieniu za to, że ukradnie z głodu, to jak wysoka musi być szubienica, na której zawisnie bogacz, który łamie prawo z zachłanności?

- Chciałbym raz jeszcze zaznaczyć, panie, że sam kupuję swoje spinacze - zapewnił nerwowo Drumknott.

- Oczywiście, ale w twoim przypadku z przyjemnością stwierdzam, iż masz umysł tak nieskazitelny, że aż skrzy.

- Zachowuję paragony, panie. - Drumknott nie ustępował. - Na wypadek gdybyś chciał je obejrzeć. - Przez chwilę milczał, nim podjął: - W tej chwili komendant Vimes jest już daleko w drodze do Ramkinowego Dworu, panie. Co może się okazać szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Vetinari nie zmienił wyrazu twarzy.

- Rzeczywiście, Drumknott. Rzeczywiście...

I od tej chwili ów mąż z zadowoleniem przyjmie drugoplanową rolę w niemal wszystkich domowych decyzjach. Lady Sybil wyznawała pogląd, że słowo jej ukochanego małżonka jest prawem w mieście, choć w jej konkretnym przypadku stawało się tylko uprzejmą sugestią do łaskawego rozważenia.